

Tadeusz Morawski

W walce o polski taniec

Danuta Kwapiszewska

Będę niedyskretny. Zdradzę czytelnikom datę jej urodzenia, chociaż panna Danuta jest w tym

przez 3 miesiące, a następnie przenosi się do Krukowskiej na rok, aby potem przejść do Piotrkowskiej, gdzie po dwóch i pół

roku każdego tańca. Tańcem narzuca nam nastroje, które są ściśle zespolone z linią utworu i zharmonizowane z każdym nasileniem czy zmianą melodyczną.

Nic też dziwnego, że panna Danuta Kwapiszewska znalazła się, jako pierwsza w szeregu tych, którzy mieli reprezentować taniec polski na Wielkim Konkursie Tancecznym w Brukseli. Ocena, jaką stamtąd wywiozła, jest wystarczającym dowodem jej umiejętności. Trzecia lokata ogólna, a pierwsza za plastykę, dostatecznie chyba podkreśla jej wartość.

Panna Danuta odtńczyła tylko w Brukseli trzy tańce: Etiudę Szymanowskiego, Suitę ludową Tansmana i Giermka Beethovena. Wystarczyło to jednak, aby publiczność belgijska przyjęła Polkę gorącymi oklaskami i żądaniem bisowania każdego numeru.

Widownia, co jest rzadko spoty-

je cykl tańców, całkowicie związanych z muzyką koncertową autorów polskich. Praca ta jest tak absorbująca, że p. Danuta zmuszona była odrzucić wszystkie ataki i prośby na danie wielkich wystę-



D. KWAPISZEWSKA 1938

pów tancecznych w stolicy i na prowincji. Twierdzi ona, że praca obecna zajmie jej dość długi przeciąg czasu, podczas którego poświęci najwyżej dwa wieczory na danie swoich występów, i to na prowincji. Przede mną — jak mówi — jest jeszcze wiele, wiele pracy i nauki.

My ze swojej strony życzymy młodzieńczej artystce, aby zapaliła, z jakim się sztuce poświęca, nie wygasiła w przyszłości na scenach zagranicznych rozświecała tę piękną sztuką polski dorobek i kulturę tanceczną.

W 30-letnią rocznicę śmierci Zygmunta Noskowskiego

23 lipca b. r. mija 30 lat od śmierci Zygmunta Noskowskiego, wysoce zasłużonego dla naszej kultury muzycznej kompozytora i pedagoga.

Przed paru laty świetny pisarz Stanisław Wasylewski opublikował bardzo interesujące wyjątki z nieznanego pamiętnika Z. Noskowskiego. Fragmenty te dotyczyły m. in. wczesnej młodości kompozytora, rzucając ciekawe światło na rodzaj zainteresowań młodego Noskowskiego. Dowiadujemy się więc z owych fragmentów, że przyszłemu twórcy „Stepu” nie marzyła się bynajmniej w okresie tym — mimo niezwykłych uzdolnień muzycznych — kariera artystyczna, raczej naukowo — przyrodnicza. Młodego gimnazjście warszawskiego pasjonował wówczas najbardziej świat owadów i motyli. „To była pierwsza moja namietność — pisze Noskowski w swym pamiętniku — Oddawałem się jej tak żarliwie, że mnie Robaczyńskim nazywano”.

Przyrodnicze zainteresowania wciąż jeszcze przez pewien okres czasu górowały nad muzycznymi. Dopiero wstrząsające wypadki polityczne, jakie rozegrały się w Warszawie 1861 r., pielgrzymka odbyta tegoż roku do Krakowa, ściśle — do wawelskiego sanktuarium pamiętek narodowych, wreszcie pełna głębokich wrażeń wycieczka do Morskiego Oka, obudziły w Noskowskim artystę.

Po studiach w Warszawskim Instytucie Muzycznym Noskowski udał się w roku 1873 do Berlina, gdzie pod kierunkiem słynnego teoretyka i kompozytora Frydery-

Pamiętaj! Rowery A. RYBOWSKIEGO. Leszno 26, tel. 11-95-54, SA NAJLEPSZE!

ka Kiela pogłębiał swą wiedzę fachową. W tym czasie napisał Symfonię A - dur.

W latach następnych powstają m. in. Symfonie e-moll (zwana e-ligijną) i f-dur (z programowym tytułem „Od wiosny do wiosny”), opery, trzy kwartety smyczkowe i jeden fortepianowy, poemat symfoniczny „Step”, nastrojowa uwertura „Morskie Oko”, kantaty na głosy solowe, chór i orkiestrę (szczególnie piękna jest kantata „Świętzińska”), liczne utwory fortepianowe, ponadto utwory na chór męski, żeński i mieszany, oraz mnóstwo pieśni na głos solowy, utrzymanych — podobnie jak cała twórczość Noskowskiego — w duchu muzyki polskiej.

Noskowski komponował dostojnie w ciągu paru godzin, wielką kantatę „Kto się w opiekę” — w ciągu dziesięciu dni, nad operą „Livia Quintilla” pracował zaledwie kilka tygodni.

Zgon

uczonego francuskiego

W Arcachon zmarł dziekan wydziału humanistycznego Uniwersytetu w Tuluzie, Jules Marsan, ur. w r. 1867. Był on jednym ze zwolenników decentralizacji życia uniwersyteckiego we Francji. Rozgłos jego wykładów sięgnął daleko po za granice ośrodka prowincjonalnego, w którym pracował przez całe życie.

Zainteresowanie naukowe zmarłego obejmowały literaturę poczynając od 16-go wieku aż do romantyzmu włącznie. Jego praca p. t. „Walka romantyczna” uchodziła za dzieło klasyczne. Z innych jego prac wymienić należy studia o Stendhalu oraz o teatrze dawnym i współczesnym.

POLSKIE SKRZYDŁA NAD BAŁTYKIEM



Około 200 samolotów wszystkich Aeroklubów R. P. ucieło „złotem do morza” i popisami lotniczymi X-lecie istnienia Aeroklubu Gdańskiego i V-lecie Morskiego Koła Szybowcowego. Na zdjęciu fragment lotniska w Rumli koło Gdyni z samolotami sportowymi.



dła, zdobiące ściany jej pokoiku, jak i zamieszczone poniżej rysunki.

Już jako małe dziecko zdradzała zamiłowanie do tańca, to też rodzice, widząc budzący się talent, oddają ją do szkoły baletowej Prusickiej, gdzie przebywa

kowskiej, gdzie po dwóch i pół letniej nauce uzyskuje dyplom, mocą którego ma prawo założyć już własną szkołę baletową. Celem pełniejszego dokształcenia się uczęszcza jeszcze do szkoły Ruth Sorel i tam właśnie nawiązuje kontakt z publicznością, choć pierwszy jej występ datuje się grubo wcześniej, gdyż mając lat zaledwie osiem, wystąpiła już na deskach scenicznych.

Ta ciężka i żmudna praca zawodowa nie przeszkodziła również pannie Danucie w ukończeniu gimnazjum.

Uczęszczając już do szkoły Ruth Sorel, p. Kwapiszewska zwraca uwagę nie tylko szreokiej publiczności, lecz i prawdziwych znawców, a jej liczne występy warszawskie stają się prawdziwą rewelacją.

Tańce własnego układu mają w sobie tyle świeżości, że każde jej ukazanie się na deskach scenicznych należy do dużych przeżyć artystycznych.

Każdy utwór, czy to będzie Etiuda Szymanowskiego, czy Taniec Akrobatyczny Lacka — jest wykonany przez pannę Danutę w sposób wybitnie subtelny, a każdy ruch ma wielką precyzję wykonania.

Wyraz tanceczny p. Kwapiszewskiej przemawia do nas pełnią swojej treści. Sylwetka smukła i zgrabna, i stroje własnego rysunku podkreślają barwę i linię cha-

kanę — wymogi na naszej artystce, aby następnego dnia dała własny recital. Recital skończył się nowym sukcesem.

Takie tańce, jak charakterystyczna „Polka na Bielanach”, czy „W przedziałni”, były aż trzykrotnie odtwarzane.



Obecnie panna Kwapiszewska przebywa w kraju i przygotowu-

Mieczysław Zydler

U kaszebskich reboków

Przesuwają się dni jeden za drugim, jak drobne kuleczki różańca w pokłutych igłą, poczerzanych od obierania „pyrek”, wychudłych palcach kaszubskiej „stareszki”. Ale jak wśród paciorków różańca trafia się co pewien czas kuleczka większa i piękniejsza od innych, rzeźbiona, tak i w pozornie jednostajnym, pracowitym życiu bywają dni wyróżniające się od innych, rzeźbione radością lub smutkiem, dni „pamiętliwe”.

Takimi wydarzeniami są dla rybaków wesela, chrzty i dużo rzadsze od ostatnich — pogrzeby z nieodłączną stypą, dla autora zaś tych słów te dni, w których przychodzi ze światła echo jego pracy w postaci audycji radiowej lub no weli w odcinku gazety.

Prócz rybaków jednak i osiadłego w wiosce przybysza, również i natura ma swoje dni, wyróżniające się z pośród innych. To dni potężnych sztormów, kiedy ziemia i chaty drżą od natarcia morza, lub też wyjątkowej pogody o przejrzystości powietrza i blas-

kach słonecznych, niespotykanych bodaj nigdzie indziej, może tylko na wysokich górskich poloninach.

Czasami zdarzy się, że w dzień pomyślny dla człowieka również i przyroda, morze i las, wystroją się w słoneczną odświeżoną szatę, jakby chcą wynagrodzić posępne dni zimowe. Wówczas w każdym niegorzkniałym sercu wzbiera radość ogromna.

Do takich dni, wybitnie wyróżniających się z szarej codzienności, zaliczam także swoje wyjazdy do miasta, do odległej o 80 km. Gdyni. Nie jest to sprawa łatwa.

Do stacji kolejowej mamy szmat drogi. Tego samego dnia powrócić nie można, nie ma bowiem pociągu o odpowiedniej porze. Niemniej przychodzi taka chwila, najczęściej po ukończeniu większej jakiejś pracy, że człek poczyną odczuwać nieprzewidywaną potrzebę odprężenia, zanurzenia się w hałasie miasta, otarcia się o ludzi, którzy swoje myśli wyrażają słowami innymi, akcentowanymi inaczej, zupełnie inaczej, niż wymawiają je rybacy kaszubszy.

Jadę do stacji kolejowej w Halerowie końmi jednego z najzamożniejszych gospodarzy w naszej wiosce, Michała Houtena. Jest to stary, niski i chudy, siwy jak gołąb człowieczek, powierchownością swoją zgola nie przypominający swoich ociężałych holenderskich przodków. Ma lat 80, bystre spojrzenie spod czapki zawsze na oczy nasuniętej i wszystkie — co do jednego — zdrowe jak orzech zęby, które ma zwyczaj zaciskać mocno. Pominał brodzusznego uśmiechu, który Houten lubi w rozmowie z obcymi przywoływać na pomoc, wyraz zawziętości, powstający z owego mocnego zagryzania szczęk, jest swoistym rysem jego suchej, ptasiej twarzy. przyozdobionej pięknym, białym wąsem.

Na kolej odwozi mnie teraz nie on, lecz jego syn, tzw. „młody” Houten, w którym cechy właściwe Holendrom, zaznaczyły się dużo wyraźniej, niż w ojcu. Duży, rubaszny — jest wciąż jeszcze kawalerem pomimo swoich lat 55, ojciec bowiem na żeniaczkę mu nie pozwolił, nie chcąc wypuszczać z garści, ani rozdrabniać gospodarstwa.

Syn pozostał ojcu posłuszny i urażę schował głęboko na dnie serca. Jedną z córek wysłał za

maż, lecz musi mieszkać wraz z całą swoją rodziną przy ojcu, który z wydzieleniem posagu także jej czekać na swoją śmierć. Dwie pozostałe córki wędrują w staropanieństwo.

Nie byłoby może tak surowo i tak zawzięcie w domostwie Houtenów, gdyby żyła gospodyni, ale wiele już razy topniały lody, wiele już razy zielona ruń okrywała niskie, podmokłe łąki — jak sroga słabością dotknęła, Bogu swego dobrotliwego ducha oddała.

Jadę tedy z młodym Houtenem i słucham tego, co opowiada. Jakże błędne jest twierdzenie o rzekomej mruklivosti Kaszubów... Ksawer Houten siedzi bokiem na przednim siedzeniu bryczki, raz po raz zerka na konie, raz po raz trąca je batem, ale usta przez całą drogę mu się nie zamykają. Dudnią koła po szosie, więc z tego, co mówi, zrozumieć można tylko piątę przez dziesiątę, a on precz gada i gada...

O grafie - Niemcu, któremu wypadło władz polskich słuchać i o tym, że mają parcelować część jego rozległych włości, aby małorolnym Kaszubom dać żyć na ojczyźnie — mówi to z nietajoną uciechą — i o bulwarze nadmorskim, na który wjeżdżamy zaraz za Jastrzębią Górą i o nowym por-

cie rybackim. W jego gadaniu dominuje nuta wielkiego uznania dla państwa polskiego. Dla zaznaczenia różnicy, dzielącej rybaków kaszubskich od zamieszkałych w okolicy kilku rodzin niemieckich, używa wyrażenia: „My, Polacy”, nie zaś: „My, Kaszubi”, jak bywało przed laty.

Kaszubi czują dzisiaj mocno swoją łączność z państwem polskim. Źródła tego poczucia szukać należy — poza przywiązaniem do wiary ojczyźnej, do polskiego państwa, — również w dziedzinie materialnej, w powstaniu Wielkiej Gdyni, w wykończeniu na czas zapowiadzianej budowy portu we Władysławowie pomimo licznych przeszkód, wynikłych z niezwykle silnych sztormów zimowych, w sieci nowych szos, jak również w dalszych, mądrze i celowo przemyślanych planach inwestycyjnych na wybrzeżu otwartego Bałtyku.

Dwa dni, spędzone w gościnnym, przyjacielskim ciepłym ognisku domowego mojego starego przyjaciela z lat dziecińczych i młodzieńczych, dzisiaj srogiego kapitana wielkiej żeglugi, w rodzinie, życzliwej atmosferze, „rozkleili” mnie nieco. I jadąc w ciemną noc z powrotem tak samą

bryczką od stacji kolejowej do domu, który jednak domem moim nie jest, czuję niedobry smutek. Wyniosła latarnia rozewska omiata miarowo oslepiającym światłem pograżoną w mroku i we śnie równinę kaszubską. W dali, po zachodniej stronie, odpowiadają jej nikielne błyski latarni niemieckiej w Szołpinie, a mnie dręczy pytanie: do czego wracam?... Kto na mnie czeka?... I próżno odpowiadam sobie, że czeka mnie przecież praca, którą sam sobie wybrałem, z którą związało mnie mnóstwo rozczarowań, ale i niemniej radości...

Turkot szosy cichnie nagle. Zjechaliliśmy na boczną, piaszczystą drogę. Jeszcze kawalek przez martwo uśpioną wieś i jesteśmy już na miejscu. Wsiadam ciężko z bryczki i poezymnawszy Ksawera Houtena zatrzymuję się wśród czarnej nocy przed ciemnym domostwem. Wstrząsa mną dreszcz zmęczenia i chłodu.

Ale w głębokiej ciszy uszu moich, rozstrojonych dwugodzinnym turkotem kół, dobiega znajomy jednostajny szum, którego tak bardzo brakowało mi w Gdyni, rozbrzmiałej zgłębkiem niemieckim, szum równy, kojący, żywiliwy, a mocny jak głos wiernego, wypróbowanego przyjaciela. Morze.